

Annales Universitatis Paedagogicae Cracoviensis

Studia ad Didacticam Biologiae Pertinentia I (2011)

Refleksje autobiograficzne nieco emocjonalnie zabarwione. Rozmowa z Profesorem Wiesławem Stawińskim

Urodził się Pan Profesor jako syn oficera Wojska Polskiego. Wczesne dzieciństwo przypadało na lata międzywojenne. Potem przyspieszone dorastanie z racji II wojny światowej i ciężkich czasów okupacji. Jak jawi się Panu Profesorowi ten okres? Jakie są Pana ważne wspomnienia z okresu dzieciństwa?

Wywodzę się z rodziny tradycyjnie patriotycznej. Mój pradziadek Mieczysław Klamczyński, będący nauczycielem w Dąbrowie Górniczej w zaborze rosyjskim, brał udział w powstaniu styczniowym w 1863 roku. Jego córka Helena i zięć Henryk, moi dziadkowie, wychowywali czterech synów: Jerzego, Tadeusza (mego ojca), Henryka i Janusza, w patriotycznej atmosferze i tradycji walk niepodległościowych. Ojciec odbył półtoraroczną służbę w Organizacji Strzeleckiej, a następnie w 1914 roku zgłosił się do Legionów Polskich i uczestniczył w walkach. W 1918 roku podjął służbę w Wojsku Polskim, w którym służyli także jego bracia Jerzy i Henryk. Ojciec brał czynny udział w powstaniach śląskich (1919, 1920, 1921). Podobnie było w rodzinie mej matki z domu Marusińskiej żyjącej w Małopolsce (Nowy Sącz, Kraków). Matka moja studiowała matematykę na Uniwersytecie Jagiellońskim, a jej brat Tadeusz polonistykę. Przerwał studia, by walczyć w oddziale studenckim na froncie wschodnim w 1920 roku i zginął wraz z kolegami po zagarnięciu ich do niewoli rozsiekany szablami przez kozaków Budionnego.

Urodziłem się w 1928 roku Tarnowskich Górach, gdzie służył wówczas mój ojciec, kapitan WP. Jak to bywa w rodzinach wojskowych, przemieszczaliśmy się wraz z pułkiem. I tak wkrótce znalazłem się w Kutnie. Pamiętam dom oficerski z ogrodem, a obok ogrodnictwo i silny zapach i smak kiszonych ogórków w beczkach za płotem (wydobywanych stamtąd kijami). Także wakacje w Raduczu spędzane w pobliżu letnich manewrów wojskowych. Wychowywałem się w stosunkowo licznej rodzinie, obejmującej oprócz rodziców sześcioro dzieci, a często i innych członków rodziny. Miało to z pewnością duży pozytywny wpływ na moją psychikę, łatwość nawiązywania kontaktów międzyludzkich. Byliśmy ze sobą bardzo związani emocjonalnie. Każdy miał przydział domowych obowiązków, starsi opiekowali się młodszymi, nie zawsze jednak wzorowo i zgodnie z życzeniami rodziców. Żyło się najczęściej szczęśliwie i wesoło.

Od 1937 roku mieszkaliśmy w Bielsku i Białej. Przed wybuchem II wojny światowej ukończyłem klasę V szkoły powszechnej i niestety nie posiadam świadectwa ukończenia szkoły powszechnej (wówczas sześcioklasowej). Ojciec, major WP, został powołany do służby czynnej. Brał udział w walkach toczonych na wschodzie z armią radziecką. Po dostaniu się do niewoli przebywał w obozie w Starobielsku. W 1940 roku został zamordowany w Charkowie. Jego brata Jerzego, również majora WP, w tym samym roku NKWD zamordowało we Lwowie. Stryj Henryk został zamordowany przez Niemców w obozie koncentracyjnym w Dachau. Te fakty wybitnie wpłynęły na dalsze moje życie. Przez dalsze lata wojenne i powojenne łudziliśmy się, że ojciec żyje i do nas powróci. Niestety tak się nie stało.

Tak więc matka moja wraz dziećmi pozostała w 1939 roku bez środków do życia. Nazajutrz po wkroczeniu wojsk niemieckich do Bielska dokonana została u nas rewizja. Na szczęście broń pozostawioną przez ojca zakopaliśmy w ogrodzie.

W Bielsku przed II wojną światową mieszkało dużo Niemców, miasto zwano „małym Berlinem”, wielu mieszkańców zadeklarowało swą przynależność do narodu niemieckiego, podpisując tzw. Volkslistę. Nie najlepiej działo się tym, którzy tego nie uczynili, a więc całej mojej rodzinie. Otrzymywaliśmy niższe przydziały na żywność i inne produkty, w tym na odzież, na kartki z zaznaczoną literą P. Nie było dla nas możliwości dalszego kształcenia się. Nasza edukacja musiała siłą rzeczy odbywać się w domu pod matczynym kierownictwem. Nie była więc systematyczna, ani jak to dzisiaj bywa, ukierunkowana standardami wymagań. Ja osobiście każdą wolną chwilę poświęcałem lekturze książek wypożyczanych z prywatnej biblioteki znajomych. Nie bardzo mieściłyby się one we współczesnym kanonie języka polskiego. Przestudiowałem więc wiele książek Karola Maya o Dzikim Zachodzie, prawie wszystkie powieści historyczne Józefa Kraszewskiego (a było ich wiele), powieści Kurz-Mahlerowej i Rodziewiczówny oraz innych autorów. Zamierzałem w przyszłości poświęcić się studiom polonistycznym. Jednakże okupacyjna rzeczywistość temu nie sprzyjała.

Już od marca 1940 roku do marca 1942 zmuszony byłem do uczęszczania do tzw. Übergangsschule przy Knabenvolksschule V, tzn. szkoły przejściowej przy szkole ludowej dla chłopców przeznaczonej dla polskich dzieci. Oddziały oznaczone były literami B, C. Z całej nauki języka niemieckiego zapamiętałem, bo od wszystkich tego wymagano, datę i miejsce urodzin Adolfa Hitlera („Adolf Hitler geboren in Braunau am Inn am zwanzigsten April achtzehnhundertneundachzig”, tzn. Adolf Hitler urodzony w Braunau nad rzeką Inn dwudziestego kwietnia w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym ósmym). Za nieprzestrzeganie surowej niemieckiej szkolnej dyscypliny obrywałem „po łapach” elastycznym kijkiem, a także po raz pierwszy w moim życiu zostałem spoliczkowany – był to dla mnie największy wstrząs – nie było to do pomyślenia w naszych przedwojennych szkołach i naszej rodzinie. Dwuletnią naukę w tej szkole (1940–1942) ukończyłem mając niecałe trzynaście lat, by wobec zagrożenia wywozem do pracy w głębi Niemiec, za życzliwą radą polskich i niemieckich znajomych, rozpocząć pracę fizyczną w ogrodnictwie St. Schauera, a następnie jako tzw. Laufbursche, czyli chłopiec na posyłki lub goniec. Pamiętam wielogodzinną pracę przy przekopywaniu twardej, gliniastej, pełnej kamieni gleby, a nieco później dostarczanie na dwukołowym wózku wieńców na niemiecki cmentarz wojskowy położony na zboczach Góry Dębowiec daleko od śródmieścia. Także widok

w kostnicy wielu trumien ze zwłokami żołnierzy Wehrmachtu poległych na froncie wschodnim.

Już po roku zostałem przekazany do pracy w zakładach metalurgicznych Anker Werke AG, przeniesionych z centrali w Bielefeld do Bielska, jako „robotnik przyuczony do zawodu”. Początkowo przydzielono mnie do pracy na podwórzu fabrycznym, gdzie na nim „pisałem miotłą” i pracowałem przy wyładowywaniu węgla i innych materiałów. Następnie „awansowałem”, bo po krótkim wprowadzeniu pracowałem jako spawacz elektryczny przy spawaniu i dziurawieniu lotniczej aparatury. Ta „praktyka zawodowa” trwała aż do początku 1945 roku. Praca odbywała się na dwie zmiany: od godz. 6. rano do 18 wieczorem i nocną od godz. 18. do 6. rano, przy cotygodniowej wymianie, przez 6 dni w tygodniu, a więc po 72 godziny tygodniowo. Początek 1945 roku mocno zaznaczył się w mej pamięci ze względu na zbliżający się front, częste alarmy przeciwlotnicze, przebywanie w zimnej piwnicy i zimnym mieszkaniu, pusty żołądek domagający się jedzenia, którego ciągle brakowało.

W jakim zakresie Rodzina miała wpływ na wybór Pana drogi życiowej?

Rodzice moi i moje rodzeństwo nie wpływało bezpośrednio na moje konkretne decyzje, jednak zawsze rodzina wspierała mnie duchowo i w miarę bardzo skromnych możliwości finansowo.

Wkrótce po ucieczce Niemców i oddaleniu się frontu działań wojennych zaczęto otwierać szkoły w Bielsku i Białej (jeszcze wówczas odrębnych). Trzeba się było zabrać do nauki i szybko uzupełniać luki w swej wiedzy, co nie było łatwe ze względu na brak podręczników, zeszytów i innych materiałów szkolnych. Nauka początkowo odbywała się w pomieszczeniach dawnej pracowni krawieckiej i lokalach biurowych, gdyż piękny przedwojenny gmach gimnazjum i liceum był zajęty przez radziecki szpital wojskowy. Dopiero po jego opuszczeniu przez wojsko młodzież z wielkim zapałem ochotniczo uczestniczyła w jego sprzątaniu. Trudna powojenna sytuacja finansowa rodziny wymagała szukania zarobku. Już wtedy udzielałem korepetycji uczniom z zamożniejszych rodzin. Można już było zastanawiać się nad swą przyszłością. Jako nałogowy wręcz czytelnik i uczeń posiadający pewne uzdolnienia w swobodnym pisemnym przekazywaniu myśli, zastanawiałem się nad wyborem studiów polonistycznych. Nieco później przeważyły u mnie zainteresowania przyrodnicze. Przyczyniły się do tego co najmniej dwa czynniki – uprawianie na paru „własnych” grządkach obok domu jarzyn, ziemniaków i roślin ozdobnych oraz autorytet mego nauczyciela biologii, przedwojennego profesora szkoły średniej Włodzimierza Woźniczaka.

Postanowiłem podjąć studia z zakresu ogrodnictwa w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Tam też po zdaniu egzaminu dojrzałości złożyłem podanie o przyjęcie na studia wraz z kompletem wymaganej dokumentacji. Zgodnie z prawdą należy tu wyjaśnić, że byłem uczniem więcej niż dobrym. Nie zdawałem sobie jednak sprawy, że nie to miało zadecydować o wyniku moich starań o przyjęcie na studia. Niestety, nie zostałem przyjęty. To był dla mnie wręcz tragiczny okres w życiu. Okazało się, iż komisja egzaminacyjna, zwłaszcza jej ZMPowski aktyw, uznała mnie za osobę klasowo obcą – w załączonej metryce urodzenia wyczytano, że urodziłem się jako syn kapitana WP. Już po zakończeniu działalności tej komisji, dzięki pomocy jednego z moich nauczycieli, dotarliśmy z matką do przedwojennego profesora SGGW i dokumentacji egzaminu – w efekcie uzyskałem

zaświadczenie, że egzamin zdałem, ale z braku wolnych miejsc nie zostałem na studia te przyjęty. Na tej podstawie już prawie miesiąc po rozpoczęciu zajęć dostałem się na I rok geografii Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie, a po dalszych 2–3 miesiącach przenieśliśmy się na kierunek biologia z chemią.

Tak więc tylko z przypadku i zrzędzenia losu stałem się nauczycielem – czego nigdy zresztą nie żałowałem.

Jakie inne jeszcze czynniki zadecydowały o takiej drodze życiowej?

Z pewnością moje ogólne zainteresowania intelektualne, życzenia i prośby ojca kierowane do matki i nas dzieci w korespondencji z obozu starobielskiego, by nie przerywać nauki szkolnej i dalszego kształcenia, praktyka korepetytorska nabywana równocześnie z nauką w szkole średniej, wpływ nauczyciela biologii, a wreszcie historyczna peerelowska troska o właściwe pochodzenie społeczne ludowej inteligencji.

Jakie jest Pana zdanie na temat wpływu rodziców na dziecko? Czy powinni zawsze wspierać je w osobistych wyborach?

Rodzina mym zdaniem nie powinna wywierać presji na wybór konkretnej szkoły średniej lub kierunku studiów, lecz pomagać młodym ludziom w rozpoznaniu ich uzdolnień i możliwości intelektualnych, wspierać ich osobiste wybory oraz mobilizować do pokonywania trudności i uzyskiwania dobrych osiągnięć.

A jakie są Pana wspomnienia związane z okresem studiów? Czy spotkał Pan na swojej drodze osoby, które można określić mianem autorytetu?

Na ogół mile wspominam okres trzyletnich studiów na WSP (1949–1952), mimo trudności natury finansowej, jakie zmuszony byłem pokonywać i nieodpowiadającej mi oficjalnej ideologicznej atmosferze. Bardzo jednak ceniłem wiedzę i pracę wielu pracowników naukowych i dydaktycznych oraz ich podejście do studentów. Takim autorytetem był dla mnie prof. Adam Dziurzyński, prof. Kazimierz Kostrakiewicz, prof. Jan Zurzycki czy prof. Stefan Szuman.

Jak wyglądały początki Pana drogi zawodowej? Jakie wspomnienia są dla Pana ciągle żywe?

Niestety, a może i dobrze się stało, nie zaproponowano mi pozostania na studium magisterskim. Otrzymałem nakaz pracy i skierowanie do 11-letniej Szkoły Podstawowej (obecnie Liceum Ogólnokształcące im. J. Długosza) w Szopienicach (obecnie dzielnicy Katowic). W połowie sierpnia 1952 roku zgłosiłem się u dyrektora szkoły p. Zygmunta Szwei z nakazem pracy w rękę. Zostałem przyjęty i tymczasowo „zakwaterowany” w pomieszczeniu przysposobienia wojskowego mieszczącym się na bardzo niskim parterze, czyli w suterynie. W tych iście wojskowych warunkach mieszkałem przez kilka tygodni do czasu uzyskania sublokatorskiego pokoju w budynku przy ul. Oświęcimskiej 6. Niestety przed samym domem mieścił się przystanek tramwajowy. W ciągu wielu nocy budziłem się często i nagle, gdyż wydawało mi się, że tramwaj wjeżdża do mego pokoju. Do dnia dzisiejszego pamiętam upalne dni sierpnia i września pierwszego roku mej „kariery pedagogicznej” w szopienickiej szkole, a szczególnie duszną smrodliwą atmosferę zawdzięczającą swą specyficzną woń pobliskiej fabryce margaryny i hucie cynku.

Dyrekcja szkoły przydzieliła mi zajęcia z biologii i chemii, a nadto opiekunstwo klasy Xa. Z młodzieńczo wóczas zapałem podjąłem te obowiązki. Przystąpiłem do organizowania pracowni biologicznej i pracowni chemicznej oraz „ogrodu szkolnego” na skrawku ziemi przy podwórzu szkolnym.

Na pierwszą lekcję biologii w klasie XI wyruszyłem z dziennikiem w rękę i dużą na ramieniu. Z tego też względu przez dłuższą chwilę stałem przed drzwiami sali lekcyjnej. Tylko refleksja, że uczniowie z pewnością zapragną zobaczyć, czy ten „nowy” nadchodzi, zmusiła mnie do wejścia. Spojrzenie około 40 osób płci obojga pogłębiło mą tremę i odebrało mi siły. Musiałem mocno oprzeć się o biurko nauczycielskie. Z upływem kolejnych lekcji mijała mi trema i powracała równowaga ducha.

Stopniowo zacząłem odróżniać i rozpoznawać uczennice i uczniów i nawiązywać z nimi kontakty. Początkowo starałem się być dla nich nieco starszym wyrozumiałym kolegą i przewodnikiem, co jednak w efekcie odwróciło się przeciwko mnie. Zanikała dyscyplina, trudno było egzekwować wymagania. Bractwo uczniowskie bowiem się rozpuściło i zbyt spoufaliło ze mną. Na dodatek dyrekcja zwróciła mi uwagę, że konieczne jest przywrócenie porządku. Przekonałem się o potrzebie szybkiej zmiany sytuacji, a więc o niezbędnym podwyższeniu wymagań i wprowadzeniu pewnego dystansu między mną a moimi wychowankami. Nie była to jednak łatwa sprawa! Konieczne było bowiem przewyciężenie oporów ze strony moich podopiecznych. Konsekwencja w egzekwowaniu wymagań i okazywana nadal uczniom życzliwość doprowadziły do poprawy warunków mej pracy dydaktycznej i wychowawczej.

Wypada w tym miejscu zaznaczyć, że w tych pierwszych latach pracy zawodowej byłem najmłodszym członkiem Rady Pedagogicznej, co było na ogół miłe, lecz czasem także kłopotliwe. Zdarzyło się kiedyś, że pani polonistka w „średnim wieku”, zawsze bardzo elegancko ubrana, zwróciła mi delikatnie, ale zarazem nieco uszczypliwie uwagę na zbyt swobodny młodzieżowy ubiór – na koszulkę bez kołnierzyka pod marynarką: „czy pan ma zamiar być marynarzem?” A z kolei przed zakończeniem tego roku szkolnego podczas przygotowania do zbiorowej fotografii uczniów klasy Xa, której byłem wychowawcą, fotograf wziął mnie za ramię i polecił: „a ty staniesz tutaj”, co wywołało wybuch śmiechu moich wychowanek i wychowanków.

W gromadzeniu zbiorów przyrodniczych oraz w prowadzeniu pracowni biologicznej pomagali mi uczniowie. Odbywali dyżury związane z przygotowywaniem środków dydaktycznych do lekcji i porządkowaniem pracowni po zakończeniu obserwacji i eksperymentów. Także żywy materiał do lekcji zdobywałem przy pomocy uczniów. Oni również sprawowali opiekę nad szkolnymi hodowlami zwierząt. W latach 50. XX wieku nie obowiązywały jeszcze, moim zdaniem, zbyt daleko idące, ustawy i rozporządzenia o ochronie gatunkowej roślin i zwierząt, obejmujące obecnie nawet pospolite gatunki. Zdarzyło się raz jednak, że żaby potrzebne do ćwiczeń zostały w czasie przerwy wypuszczone przez dyżurnych, zawsze skłonnych do żartów, z gabinetu biologicznego na korytarz, co wywołało niesamowicie głośną reakcję młodzieży, zwłaszcza dziewcząt.

Zbliżeniu młodzieży żyjącej w tym przemysłowym mieście do przyrody służyły dosyć często organizowane przeze mnie wycieczki biologiczne. O ich organizacji i charakterze świadczą notatki odszukane w zachowanej dokumentacji mej pracy dydaktycznej.

Wycieczka do Złotego Potoku

Temat: Biocenoza lasu

Sprawy organizacyjne

Zbiórka o godz. 5.45, wyjazd o godz. 6.14. Zakupić bilety do Myszkowa i z powrotem.

Przygotować listę uczestników. Załatwić ich ubezpieczenie.

Zabrać klucze do oznaczania roślin, okładki i gazety niezbędne do układania zbieranych roślin, pudełka i słoiki na zbiory, apteczkę, ołówki, notesy.

Powrót z Myszkowa o godz. 17.31 lub 19.38.

Przygotowanie dydaktyczne

Zaznajomienie się z publikacjami dotyczącymi Złotego Potoku i okolicznej przyrody oraz dotyczącymi ochrony przyrody w Polsce.

Określenie celu i treści planowanych zajęć terenowych.

Ustalenie grup uczniowskich i zadań dla poszczególnych grup.

Przebieg zajęć

1. Omówienie trasy wycieczki, scharakteryzowanie położenia i przyrody Złotego Potoku

2. Las jako przykład biocenozy

2.1. Przypomnienie definicji i własności biocenozy

2.2. Obserwacja różnych biocenoz, w tym zespołów roślin w biocenozie lasu

2.3. Obserwacja składu gatunkowego roślin żyjących w poszczególnych piętrach lasu

I. grupa – piętro koron drzew

II. grupa – rośliny tworzące podszyt lasu

III. grupa – rośliny runa leśnego

(ustalono nazwiska uczniów mających pracować w tych zespołach)

3. Ochrona przyrody – ochrona gatunkowa roślin i zwierząt, ochrona biocenoz, ochrona krajobrazu – dyskusja

4. Oznaczanie roślin przy pomocy kluczy

5. Podsumowanie pracy uczniów

Podobnie były organizowane przeze mnie dalsze biologiczne zajęcia terenowe, np. wycieczka do Bukowna, celem zaznajomienia uczniów z biocenozą typowego lasu bukowego.

Najbardziej utkwiły mi pamięci dwie wycieczki, kilkudniowa wycieczka w Bieszczady oraz jednodniowa na Równicę w Beskidzie Śląskim.

W czasie długiej wówczas jazdy pociągiem osobowym z Szopienic do Ustrzyk Górnych moi uczniowie prawie zupełnie nie obserwowali zmieniających się krajobrazów, mimo zachęty z mej strony, tak byli zajęci rozmowami i grą w karty. Ich zachowanie było dla mnie całkowicie niezrozumiałe. Po noclegu i wypoczynku w schronisku w Ustrzykach Górnych wyruszyliśmy rano, by zdobywać bieszczadzkie szczyty. Niestety, wkrótce po wyjściu nieco ponad stu metrów powyżej schroniska rozpoczęło się wśród młodzieży szemranie, następnie głośne protesty, a w końcu „staruszki i staruszkowie” 16–17-letni całkowicie się zbuntowali i domagali powrotu do schroniska. Tylko zdecydowany sprzeciw z mej strony, poparty różnymi argumentami, spowodował przerwanie tego specyficznego strajku

uczniowskiego. Jednak po osiągnięciu szczytu Połoniny Waryńskiej, gdy ukazało się całe piękno krajobrazu bieszczadzkiego, widoczny był w ich oczach podziw i rodzący się zachwyt. Usłyszałem nieśmiałe stwierdzenie: „Warto było tu dotrzeć”.

Niektórym zajęciom terenowym prowadzonym z moimi uczennicami i uczniami towarzyszył niepokój o ich bezpieczeństwo, np. w czasie jednodniowej wyprawy z moją klasą Xa na Równicę. Pociągiem dojechaliśmy do Węgierskiej Górki, a stamtąd wędrowaliśmy górskim szlakiem na Równicę. Zgodnie z wymogami dotyczącymi bezpieczeństwa uczniów na przedzie grupy szła nauczycielka, a ja na końcu. Z czasem Sznur uczniów rozciągnął się tak dalece, że nie widziałem wszystkich uczestników wycieczki. Po przybyciu do schroniska na Równicy okazało się, że brakuje trzech młodzieńców! Wprawdzie trasa wycieczki nie była niebezpieczna, lecz zbaczającym ze szlaku groziło zatrzymanie przez żołnierzy WOP i odesłanie do dowództwa w Gliwicach, ze względu na duże wówczas obostrzenia ruchu turystycznego w strefie przygranicznej. Długo trwały poszukiwania, rozmowy z wychowankami – niestety, solidarnie nikt o niczym nie wiedział lub nie chciał wiedzieć. W efekcie do Szopienic powróciliśmy zamiast w godzinach wieczornych dopiero około drugiej czy trzeciej w nocy! W mieszkaniu czekała na mnie „miła wiadomość”: „Wróciliśmy szczęśliwie. Humory nam dopisują” (tu podpis trzech bohaterów). Nigdy chyba już w dalszym moim życiu tak bardzo jak wówczas humor mnie nie dopisywał. Tak wielka była i może być beztraska i brak wyobraźni młodych osób.

Inna, tym razem miła niespodzianka czekała mnie w dniu mych imienin. Wieczorem po powrocie z pracy zastałem w moim pokoju cały zespół wychowanków siedzących wokół ścian na podłodze. Czekali, by złożyć mi życzenia imieninowe. A przy okazji trochę sobie pogawędziliśmy.

Kolejna wizyta miała miejsce w nieco odmiennym miejscu. W ostatnim roku mej pracy w Szopienicach w czasie egzaminu dojrzałości dopadł mnie silny atak kolki nerkowej. Z trudem uczestniczyłem w pracach komisji egzaminacyjnej, aż wreszcie znalazłem się w miejscowym szpitalu na olbrzymiej sali, na której mieściło się chyba kilkanaście łóżek. W drugim lub trzecim dniu mego pobytu w szpitalu zmarł pacjent, leżący na sąsiednim łóżku o nieco podobnym do mego nazwisku. Po niedługim czasie od tego smutnego wydarzenia do sali wszedł jeden z pacjentów i odezwał się do mnie: „Proszę pana, niech pan szybko wyjdzie na korytarz, bo przyszli do pana z wizytą uczniowie, lecz ktoś im powiedział, że pan przed chwilą umarł”. Trudno opisać, jakie miny mieli uczniowie, gdy mnie żywego na własne oczy ujrzeli! Potrzebowali nieco czasu na przyjście do siebie i spokojne wysłuchanie mych wyjaśnień o przyczynie takiej pomyłki.

W latach 1953–1955 pełniłem obowiązki instruktora biologii przy Miejskim Ośrodku Metodycznym w Szopienicach. Początkowo pewien kłopot w prowadzeniu spotkań wynikał z faktu, iż byłem najmłodszym w zespole nauczycielek. Jednakże panie żywo uczestniczyły w pracy nad swym i z pewnością moim doskonaleniem zawodowym. Wzajemnie wymienialiśmy ja swą wiedzę, a one doświadczenie. Podobnie starałem się postępować pracując w Wojewódzkim Ośrodku Metodycznym w Katowicach (1955–1967).

Doświadczenie zdobyte przeze mnie w czasie pierwszych lat pracy zawodowej oraz refleksja nad jej przebiegiem miały z pewnością znaczny wpływ na kolejne etapy mej działalności dydaktycznej i wychowawczej oraz naukowej. Przekonałem

się bowiem o konieczności stałego i zarazem intensywnego pogłębiania mej wiedzy biologicznej, chemicznej i pedagogiczno-dydaktycznej, zwłaszcza że równocześnie z pracą zawodową odbywałem na Uniwersytecie Jagiellońskim studia magisterskie, a następnie prowadziłem badania związane z przygotowaniem rozprawy doktorskiej. Stwierdziłem, że bez dogłębnego zrozumienia opanowywanej wiedzy, a także umiejętności właściwego dydaktycznego zaznajamiania z nią uczniów i nauczycieli i liczenia się z ich przygotowaniem – wiedzą wyjściową, trudnościami i możliwościami, nie uzyskam dobrych wyników w swej pracy. Starałem się, kiedy to tylko było możliwe, włączać edukowane osoby w przygotowanie do zajęć (gromadzenia materiałów, zaznajamianie z odpowiednimi źródłami informacji, opracowywanie krótkich referatów, też do dyskusji, organizacji zajęć terenowych itp.) i aktywnego uczestnictwa w czasie ich trwania. Zwracałem uwagę na utrwalanie podstawowych wiadomości, w myśl starej łacińskiej maksymy „repetitio est mater studiorum”, której tak bardzo przestrzegał mój nauczyciel biologii Włodzimierz Woźniczak, stale nawiązując do uprzednio opracowywanych zagadnień jako niezbędnej podstawy dla zrozumienia nowych treści. W miarę możliwości starałem się, by poprzez obserwacje czy eksperymenty uczniowie nabywali umiejętności ważne w samodzielnym poznawaniu przyrody, by w ten sposób dochodzili do głębszego rozumienia struktur, procesów i prawidłowości biologicznych oraz rozwiązywania problemów.

Uważałem i nadal uważam, że każdy nauczyciel – w tym także akademicki – jest zarazem wychowawcą. Szanowałem mych uczniów i wychowanków i wymagałem również szacunku dla siebie. Nie pamiętam, by kiedykolwiek zdarzyło mi się ich obrazić. Prawie nigdy z ich strony nie spotkało mnie też świadomie ubliżające mi zachowanie. Podobnie zresztą było w kontaktach z rodzicami mych wychowanków. Miałem zwykle takie szczęście, że powierzano mi jako wychowawcy zespoły klasowe „bardzo żywe”, sprawiające szkole dużo kłopotu. Czasami udawało mi się łagodzenie konfliktów między uczniami i ich rodzicami oraz uczniami i nauczycielami.

Wielu wychowanków przez wiele lat po ukończeniu szkoły utrzymywało ze mną korespondencję, informowało mnie o przebiegu swych studiów, służby wojskowej czy pierwszych latach pracy zawodowej.

Jakie ma Pan wspomnienia związane z długoletnią pracą na Uniwersytecie Pedagogicznym? Kogo Pan wspomina i które kontakty zaowocowały rozwojem Pana koncepcji naukowych?

Praca w szkole i ośrodku metodycznym interesowała mnie i angażowała emocjonalnie. Chociaż po uzyskaniu stopnia naukowego doktora nauk biologicznych spotykały mnie życzliwo-ironiczne pytania ze strony nauczycieli i nauczycielek mej szkoły: czy nie są dla ciebie zbyt niskie progi naszej szkoły?, czy ty się u nas nie marnujesz? Równocześnie (1967) otrzymałem od ówczesnego rektora WSP prof. dr. W. Danką propozycję objęcia kierownictwa Zakładu Dydaktyki Biologii. Byłem w rozterce. Wprawdzie podjąłem tę pracę, jednak zagwarantowałem sobie możliwość powrotu do szkoły i ośrodka metodycznego, uzyskując roczny bezpłatny urlop z kuratorium.

Stosunkowo szybko znalazłem zrozumienie dla moich zamierzeń i planów rozwoju Zakładu u moich najbliższych współpracowniczek, wówczas mgr Ludwiny Palki, mgr Jadwigi Długowiejskiej i mgr Elżbiety Zębalskiej. Uzyskaliśmy do dyspozycji dwa pomieszczenia: na trzecim piętrze pracownię (za szafami miejsce dla pracowników)

oraz na pierwszym piętrze salę do zajęć dydaktycznych. Musieliśmy przystąpić do wzbogacania wyposażenia Zakładu (księgozbiór, środki dydaktyczne niezbędne do przygotowania studentów do pracy dydaktycznej, umeblowanie). Oficjalnie zyskałem aprobatę ówczesnego kierownictwa Wydziału i Instytutu. Jednak natrafiałem na trudności w pozyskiwaniu na ten cel środków finansowych czy dalszych pomieszczeń. W pewnym stopniu rozumiałem istniejące w Instytucie ograniczenia finansowe, a zwłaszcza lokalowe. Lecz główna przyczyna tkwiła, moim zdaniem, w braku zrozumienia istotnych potrzeb i zadań Zakładu. Zawsze ważniejsze były potrzeby innych Zakładów i ich pracowników naukowo-dydaktycznych. Poza tym wyczuwałem pewną nieufność względem naszych działań, gdyż prawie wszyscy pracownicy Instytutu uważali się za specjalistów w dziedzinie przedmiotowo-dydaktycznego kształcenia studentów, a także konfrontowali moje działania z pracą moich poprzedników. Na zebraniach Instytutu uchwały podejmowane były wówczas zgodnie ze stanowiskiem samodzielnych pracowników Instytutu i jego kierownictwa partyjnego. Na szczęście tej presji partyjnej już nie ma. Dosyć długo trwało przekonywanie władz Wydziału i Instytutu do naukowych podstaw dydaktyki biologii. Nie sadzę jednak, że wszyscy zostali do dziś przekonani. Trzeba było się hartować psychicznie, przewycięzać momenty zniechęceń i mobilizować się do kontynuowania zamierzeń. Przez prawie cały czas mej pracy w Uczelni odczuwałem brak głębszej współpracy naukowej z dydaktykami geografii i chemii oraz pedagogami. Być może nie potrafiłem właściwie się do niej przyczynić. Porozumienie wzajemne utrudniały znaczne różnice natury terminologicznej oraz teoretycznej i metodologicznej. Doceniałem bardzo prace prof. dr Jana Flisa i pod ich wpływem nieco zmodyfikowałem stosowaną terminologię, np. „okazy naturalne” na „okazy”, gdyż one są zawsze naturalne.

Dążyłem do głębszego zaznajomienia się ze światową nauką literaturą biologiczno-dydaktyczną, mimo trudności w prenumeracie zagranicznych czasopism naukowych i braku Internetu. Prowadziłem w tym celu korespondencję z zagranicznymi dydaktykami. W latach 1968–1990 stopniowo nasilała się wymiana i współpraca naukowa Zakładu z sąsiednimi krajami, Czechosłowacją i Niemiecką Republiką Demokratyczną, obejmująca nie tylko udział w konferencjach naukowych tam organizowanych, lecz także dłuższe pobyty studyjne. Ważnym czynnikiem rozwoju tej współpracy była działalność Sekcji Dydaktyki Biologii Polskiego Towarzystwa Przyrodników im. Kopernika i organizowane przez nią krajowe oraz międzynarodowe seminaria i konferencje naukowe, w których uczestniczyli także dydaktycy biologii z Czechosłowacji, Bułgarii, Francji, Niemiec Zachodnich, Francji i Austrii i innych państw. Po raz pierwszy, co było wówczas wielkim wydarzeniem, spotkały się ze sobą dwie delegacje niemieckie z NRD i Niemiec Zachodnich w 1979 roku na IV Ogólnopolskim Seminarium Dydaktyki Biologii w Przemyślu. Były pewne kłopoty z umieszczeniem przy stole obok siebie obu tych delegacji w czasie otwarcia obrad. Jednak już wieczorny program kulturalny urozmaicił wokalny występ „zjednoczonej nieformalnie” grupy niemiecko-niemieckiej

Nie mogę pominąć znaczenia wymiany poglądów naukowych, do jakiej dochodziło w czasie zespołowych badań Instytutu Programów Szkolnych i naszego Zakładu nad programami i podręcznikami biologii. Ze strony IPS uczestniczyły w niej prof. dr Danuta Cichy, dr Anna Bogdańska-Zarembina, dr Barbara Koszewska, a ze strony Zakładu ja wraz z Współpracowniczkami. Dyskutowano nad założeniami

metodologicznymi, procedurami badawczymi i narzędziami badawczymi. Te dyskusje, toczone głównie między „ważniejszymi utytułowanymi osobami”, były nieraz, zwłaszcza podczas seminariów i konferencji biologiczno-dydaktycznych, bardzo ożywione i tak angażowały emocjonalnie dyskutujące osoby, że kończyły się czasami dotkliwie odczuwaną niedyspozycją obu dyskutantów. Niestety ja sam bywałem ich przyczyną i ofiarą.

Czy może Pan Profesor przybliżyć nam kulisy ówczesnych kontaktów z ośrodkami zagranicznymi zajmującymi się dydaktyką biologii? Czy dostrzegał Pan potrzebę współpracy zagranicznej dla dalszego rozwoju polskiej dydaktyki biologii?

Bezpośrednie kontakty z zachodnioeuropejskim i dalej położonymi ośrodkami naukowymi aż do początku lat 80. XX wieku nie były dla mnie możliwe ze względów finansowych oraz trudności w uzyskaniu paszportu i zgody na taki wyjazd. Starałem się w miarę możliwości włączać me Współpracowniczkę do udziału w zagranicznych konferencjach naukowych i wyjazdach studyjnych, co moim zdaniem korzystnie wpłynęło na ich rozwój naukowy i kompetencje biologiczno-dydaktyczne. Wyjazdy zagraniczne umożliwiały bliższe zaznajomienie się ze światowymi tendencjami w rozwoju edukacji biologicznej i środowiskowej oraz naukowych badań biologiczno-dydaktycznych, podjęcie wspólnych z zagranicznymi ośrodkami badań, jak również dokonanie oceny naszych działań, osiągnięć i niedociągnięć w tych dziedzinach w porównaniu z sytuacją w innych krajach. Cieszę się bardzo, że również obecnie kontakty naukowe Zakładu z zagranicą są utrzymywane i nawet poszerzane.

W programie międzynarodowych konferencji były i są zwykle przewidziane zajęcia terenowe związane z problemami ochrony przyrody i ochrony środowiska oraz kulturą danego kraju. Istnieje więc często okazja do poznania miejscowych obyczajów, tradycyjnych potraw i przysmaków. A jeśli się uda wygospodarować trochę wolnego czasu przed i po konferencji – to można także podejmować indywidualne lub grupowe wędrowki bez „opieki” zapewnianej przez biura turystyczne i organizatorów konferencji. Wiadomo bowiem, że zagraniczni turyści poruszają się zwykle jakby wewnątrz bańki mydlanej lub szklanej, izolującej ich od miejscowej ludności i jej warunków życia. Wydobycie się z tej izolacji stwarza możliwość poznania realiów życia w zwiedzonym kraju, a także, co jest moim zdaniem równie ważne, samodzielnego wyboru celu, obiektów oraz czasu pobytu w określonym miejscu.

Czy może Pan Profesor podzielić się z nami ogólną refleksją dotyczącą wpływu różnorodnych wydarzeń osobistych i zawodowych na koncepcję kształcenia, której jest Pan autorem?

Refleksja nad mą drogą życiową prowadzi do przeświadczenia, że nawet wydawałoby się mało ważne wydarzenia mogą wywrzeć wpływ na późniejsze decyzje i działania. I tak np. udzielanie przeze mnie w okresie mego pobytu w szkole średniej korepetycji mniej zdolnym lub pilnym uczniom wymagało dobrego zrozumienia treści im objaśnianych oraz zastanowienia się nad trudnościami, jakie mają w ich opanowaniu. Podobnie zresztą było w pierwszych latach mej pracy zawodowej z nauczaniem chemii uczniów klas VII–XI. Okazało się wówczas konieczne znaczne pogłębienie mej wiedzy z tej dziedziny wyniesionej z uczelni i przemyślenie sposobu jej udostępniania uczniom. Stąd z pewnością wynikało moje późniejsze zainteresowanie badawcze problemami doboru i zakresu treści nauczania, ich

dydaktycznej strukturyzacji oraz ich rozumienia przez uczniów. Ponieważ wcześniej podjąłem obowiązki instruktora w ośrodku metodycznym, byłem zmuszony do gruntownego przestudiowania zarówno teoretycznych podstaw dydaktyki biologii, jak również sposobów ich praktycznego stosowania. Korzystałem więc głównie z przedwojennych polskich wydawnictw (wydanych w latach 1918–1939), opracowanych przez naszych wybitnych dydaktyków propagujących laboratoryjne i zarazem problemowe nauczanie biologii, organizowanie zajęć w ogrodach szkolnych i zajęć terenowych. Oczywiście wzorem do naśladowania była dla mnie praca prof. dr Adama Dziurzyńskiego, mego nauczyciela Włodzimierza Woźniczaka oraz instruktorów, z którymi spotykałem się na szkoleniach w wojewódzkim i centralnym ośrodku metodycznym (m.in. Waleriana Bętkowskiego, Sylwestra Frejlaka, Józefa Gilowskiego, Stanisława Hetpera, Ludwika Jaromina, Janiny Zdebskiej). Kontakty naukowe z prof. dr. André Giordanem, prof. dr. Johannesem Müllerem, prof. dr. Jozefem Šulą, prof. dr. Ulrichem Kattmannem przyczyniły się do sprecyzowania koncepcji badań nad kształtowaniem pojęć biologicznych oraz doborom, strukturyzacją i dydaktyczną transformacją treści kształcenia. Przytoczone, siłą rzeczy tylko wybrane przykłady wskazują, jak owocna może być szeroko rozumiana wymiana myśli i poglądów w działalności dydaktyka biologii.

W początkowym okresie mej pracy zawodowej nastawiałem się głównie na w miarę dobre i skuteczne praktyczne działanie dydaktyczne i wychowawcze, kierując się sprawdzonymi przez wybitnych nauczycieli i dydaktyków biologii wskazówkami, dążąc w ten sposób do jej usprawnienia i osiągania lepszych efektów. Przebieg i wyniki tej pracy konfrontowałem z przyjętymi wzorcami. Stopniowo jednak szukałem własnych rozwiązań i próbowałem dokonywać ich oceny. Dostrzegłem pilną potrzebę podjęcia badań biologiczno-dydaktycznych oraz przemiany ówczesnej metodyki nauczania biologii, jako pomocniczego praktycznego przedmiotu studiów, służącego głównie przygotowaniu studentów do pracy zawodowej, w dyscyplinę naukową. Spotykałem się wtedy jednak z brakiem zrozumienia wśród wielu naszych instytutowych pracowników, którzy porównywali mnie i moją pracę z mym utalentowanym wybitnym poprzednikiem – nie posiadałem niestety dorównującego mu talentu rysunkowego i autorytetu naukowego. Uważali także, o czym już wcześniej nadmieniłem, że każdy pracownik naukowo-dydaktyczny posiadający dobre przygotowanie biologiczne oraz nieco praktyki szkolnej może być i w zasadzie jest kompetentnym metodykiem biologii. Stąd wynikało – i nadal wynika – wiele trudności w dalszym przekształcaniu metodyki biologii w nowoczesną dydaktykę biologii jako nauki i zarazem przedmiotu studiów.

Coraz większą wagę przypisywałem opracowywaniu teoretycznych założeń oraz procedur i narzędzi badawczych. W pierwszej kolejności podejmowałem badania diagnostyczne. Ich wyniki miały stanowić podstawę eksperymentalnych badań. Za konieczne w toku badań eksperymentalnych przyjmowałem obserwowanie i rejestrowanie przebiegu badanego procesu dydaktycznego. Za niesłuszne natomiast, jak to często jeszcze dzisiaj bywa, ograniczanie się do porównywania efektów eksperymentu ze stanem wyjściowym. Naukowej weryfikacji wymagało wiele przyjmowanych z góry za słuszne praktycznych zaleceń i wskazówek dydaktycznych. Niezbędne więc było podejmowanie w Zakładzie wielokierunkowych badań, włączanie do nich współpracowników i nauczycieli zainteresowanych pracą badawczą

– przyszłych moich doktorantów. Znaczne zróżnicowanie tematyki prac doktorskich miało ich przygotować do prowadzenia bardziej specjalistycznych badań. W latach 80. ubiegłego stulecia zwracałem uwagę na potrzebę rozwijania w Polsce obok ogólnej dydaktyki biologii także szczegółowej dydaktyki biologii, zajmującej się wychowawczymi i dydaktycznymi aspektami nauczania treści z określonej dziedziny nauk biologicznych na różnych etapach formalnego i nieformalnego kształcenia. Szersze uzasadnienie przedstawiłem w książce pt. *Główne nurty rozwoju dydaktyki biologii* (1992). Równocześnie apelowałem o doprowadzenie do ujednoczenia terminologii biologiczno-dydaktycznej i uściślenie treści stosowanych terminów i pojęć. Proponowałem opracowanie słownika biologiczno-dydaktycznego. Nawet zainicjowałem wstępne prace w tym kierunku. Niestety, z różnych przyczyn nie zakończyły się one sukcesem. A szkoda wielka! Mam jednak nadzieję, będąc niepoprawnym, chociaż umiarkowanym optymistą, że taki słownik zostanie jednak opracowany.

Czy współczesna dydaktyka biologii różni się od dydaktyki, którą zaczynał Pan tworzyć na początku swojej drogi zawodowej? I dokąd powinna zmierzać?

W pierwszej dekadzie XXI wieku wzrosły trudności i bariery ograniczające dalszy rozwój dydaktyki biologii w naszym kraju. Przemiany organizacyjne na wyższych uczelniach doprowadziły do rozbicia, a nawet likwidacji zakładów i pracowni dydaktyki biologii na wielu wyższych uczelniach, podporządkowania ich pedagogice i organizacyjnego oderwania od instytutów biologii. Może to spowodować także dalszą daleko idącą zmianę charakteru prac naukowych dotyczących edukacji biologicznej. Już obecnie dostrzega się stopniowe przechodzenie od spojrzenia biologiczno-dydaktycznego na problemy edukacji biologicznej i środowiskowej – w ujęciu celów i treści kształcenia, w doborze strategii i metod kształcenia oraz narzędzi i metod badawczych – na podejście pedagogiczno-psychologiczne. Ta tendencja jest widoczna w raportach z badań prowadzonych przez dydaktyków biologii oraz w artykułach zawierających przykłady i propozycje rozwiązań dydaktycznych, a szczególnie w centralnie formułowanych zaleceniach.

Uważam jednak, że uwzględnianie aspektu psychologiczno-pedagogicznego w założeniach i procedurach badawczych nie może prowadzić do drugoplanowego traktowania specyficznych problemów biologiczno-dydaktycznych. Razi mnie także nieuzasadnione i bezrefleksyjne często zaśmiecanie artykułów i raportów z badań naukowych modną, nierzadko niecisłą terminologią, gloryfikującą osiągnięcia edukacyjne „nowej cyfrowej ery XXI wieku” oraz terminami obcojęzycznymi, przeważnie angielskimi. Można by tu powiedzieć za Mikołajem Rejem, „iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają”, dodając, że polscy dydaktycy biologii także dysponują swoją terminologią. Bardzo mi się podoba troska Francuzów o niezaśmiecanie ojczystego języka.

Nie znaczy to jednak, że jestem w ogóle wrogiem wprowadzania nowych określeń. Pojawiają się nowe problemy dydaktyczne, wynikające z postępu nauk biologicznych i wprowadzania związanych z nim treści nauczania, dostępnością stale doskonalonych mediów. Młodszej generacji pracowników naukowych trudno sobie wyobrazić prowadzenie badań naukowych bez komputera czy dostępu do Internetu. Jednak przed 30, 35 laty w takich warunkach musiały one być w naszym kraju prowadzone. Gromadzenie danych, ich przetwarzanie, dokonywanie analiz

statystycznych wymagało wielkiego nakładu czasu i wysiłku. Ile zachodu kosztowało doprowadzenie do zakupu jedynej „maszyny rachunkowej” dla Zakładu, zajmującej więcej miejsca na biurku niż obecnie komputer z całym oprzyrządowaniem! Niezbędne jest oczywiście korzystanie w edukacji przyrodniczej i badaniach przyrodniczo-dydaktycznych z szeroko rozumianych mediów. Lecz niezmiernie ważne, by było ono sensowne, dostosowane do specyfiki przedmiotu badań i nauczania! Tylko tyle i aż tyle! W tym kierunku powinien, moim zdaniem, zmierzać rozwój współczesnej dydaktyki biologii i w ogóle edukacji przyrodniczej.

Jak Pan Profesor ocenia szkołę wczoraj i dziś? Jakie Pan dostrzega zalety i wady w ewolucji polskiej i europejskiej szkoły? Jaka powinna być rola mediów w edukacji?

Przemiany współcześnie wprowadzane w szkolnictwie i edukacji mają ambiwalentny charakter. Wyraźnie widoczne jest przy porównaniu szkoły dzisiaj i wczoraj, dokonywanym z uwzględnieniem obiektywnych uwarunkowań gospodarczych, społecznych i politycznych. Nie można przy tym zapominać o istniejących różnicach i rozbieżnościach między popularnymi ideami edukacyjnymi a stopniem i sposobami ich realizacji w codziennej pracy szkół i nauczycieli. Przed wielu laty nauczyciele więcej chyba dbali o swój autorytet i dobro ucznia, o jego kulturę i ogładę. Nigdy mi na myśl nie przyszło, bym musiał lękać się agresji ze strony moich wychowanków i uczniów, nie mówiąc już o studentach! A co obecnie dzieje się w szkołach i uczelniach!

Ogładę towarzyską powinien każdy człowiek wnosić ze swego domu rodzinnego, wiedzieć, jak należy się kulturalnie zachowywać w różnych sytuacjach życiowych. Niedostatki wychowania w tej mierze powinna usuwać szkoła podstawowa, gimnazjalna i ponadgimnazjalna. Niestety troska o tę stronę wychowania przestała być w naszych szkołach uważana za sprawę wartą większej uwagi. W ostatnich kilkunastu latach doszło do znacznej wulgaryzacji zachowań międzyludzkich i obniżenia wymagań w tej mierze.

Przyczyniły się do tego w znacznym stopniu liberalne prądy filozoficzne, kwestionujące zasadność tradycyjnych wartości oraz norm etyczno-moralnych. Sprzyjały one rozluźnieniu obyczajów i zachowań wśród osób dorosłych i młodzieży oraz nasilaniu się postaw konsumpcyjnych i dążeniu do szybkiego, bezstresowego zaspokajania potrzeb. Liberalne wychowanie niewiążące się ze stawianiem dzieciom i młodzieży większych wymagań, a co za tym idzie, osłabiona kontrola ich zachowań sprzyja niepokojącemu nasilaniu się wśród nich nikotynizmu, alkoholizmu, narkomanii i przemocy. Nie bez winy pozostaje tu telewizja i Internet. Przesadne domaganie się „politycznej poprawności” wiąże się nieraz z ośmieszaniem i dyskredytowaniem tradycyjnych postaw, poglądów i przekonań.

W następstwie tych przemian obyczajowych negatywnie zmienia się, także w wielu szkołach wyższych, w tym kształcących nauczycieli, atmosfera w czasie zajęć dydaktycznych zarówno na studiach stacjonarnych jak i niestacjonarnych oraz podyplomowych. Studenci konsumują przyniesione ze sobą przekąski, popijają napoje, prowadzą ze sobą rozmowy, a od czasu do czasu ślą w świat esemesy. Podobnie zresztą bywa w niektórych szkołach średnich. Prowadzący zajęcia przychodzą na nie nieraz ubrani niedbale. Przyzwyczajonym do takich zachowań studentom trudno później kulturalnie się zdyscyplinować, właściwie aktywizować swych uczniów do pracy intelektualnej, w tym twórczej, czyli kreatywnej, mówiąc

modnym pedagogicznym językiem. Kultura i osobowość pracowników szkół wyższych działają na studentów równie silnie, jak wysoki poziom ich wiedzy, są bowiem podstawą ich autorytetu. To ich przyszli nauczyciele uznawać powinni za wzór do naśladowania w pracy szkolnej.

W toku studiów studenci powinni mieć okazję do poznania efektywnych nowoczesnych strategii, form i metod kształcenia adekwatnych do specyfiki nauk przyrodniczych i przydatnych w nauczaniu przyrody, biologii i wiedzy o środowisku. Nie zawsze jednak tak się dzieje.

Za pozytywne uważam zwiększenie praw uczniów i studentów, jednakże o ile idzie z tym w parze poczucie większej odpowiedzialności za udział w życiu szkoły, efekty własnej nauki/studiów, szacunek dla siebie oraz koleżanek i kolegów, nauczycieli i profesorów. Dostrzegam niepokojącą rozbieżność między współczesnymi postulatami zmierzającymi do powiększania samodzielności, rozwoju intelektualnego oraz „kreatywności” osób edukowanych – na wszystkich etapach edukacji – a równoczesnym drobiazgowym wprost określaniem różnorodnych standardów i efektów kształcenia. Zamiast ich motywowania do samodzielnego podejmowania i rozwiązywania problemów przekazuje się im szczegółowe scenariusze działania, tzw. gotowce notatek czy zapisów z przebiegu lekcji czy zajęć dydaktycznych. Zamyka się oczy na prawie powszechne przedkładanie przez uczniów i studentów opracowań zakupionych w księgarniach lub za pośrednictwem Internetu. Przygotowuje się ich głównie do udzielania standardowych rozwiązań zadań testowych, rutynowo stosowanych w czasie kontroli osiągnięć uczniów i wszelakich egzaminów. Czyżby chodziło o zaprogramowanie ludzi XXI wieku jako żywych, średnio inteligentnych komputerów? Prowadzone ostatnio badania i dyskusje wskazują, że dla kulturalnego analfabety nie mającego kompetencji czytelniczych samo korzystanie z Internetu nie wpływa korzystnie na jego rozwój intelektualny. „Społeczeństwo informacyjne [...] ma być społeczeństwem książki i komputera, a nie komputera zamiast książki” (E. Bedyk, „Polityka” 2010, nr 34). Mam jednak nadzieję, wciąż jako umiarkowany i niepoprawny optymista, że narastać będzie opór bardziej światłych i mądrych edukatorów przeciw deformacjom tak rozumianej nowoczesnej edukacji.

Rola mediów w edukacji przyrodniczej już obecnie jest duża i z pewnością w szkole jutra będzie znacznie większa. Nie zawsze jednak pozytywna. Wszystko zależy od jakości treści przez nie przekazywanych i sposobu ich wykorzystania w procesie dydaktyczno-wychowawczym. Nie mogą one jednak – jak to często już bywa – zastępować bezpośredniego kontaktu uczących się z przyrodą i realiami życia w społeczeństwie. Ani oddziaływania żywego nauczyciela i wychowawcy.

Co Pan Profesor uważa za swoje największe osiągnięcie życiowe i zawodowe? Czy ma Pan Profesor niespełnione marzenia?

Trudno jest samemu mówić o własnych największych osiągnięciach życiowych. Z pewnością jakieś one są. Mniemam, że należy tu wspomnieć o moim współudziale w rozwoju naszego Zakładu i polskiej dydaktyki biologii czy kształceniu i doskonaleniu nauczycieli. O tym, że czasami udawało mi się wyprostować nieco drogi życiowe moich wychowanków czy rozwinąć ich zainteresowania przyrodnicze. Staralem się nie krzywdzić swym działaniem i moimi opiniami uczniów, studentów, nauczycieli i pracowników – raczej ukazywać ich zalety, osiągnięcia niż niedociągnięcia. W recenzjach podręczników i innych wydawnictw biologiczno-dydaktycznych czy

prac naukowych podkreślałem ich walory, wskazywałem na występujące w nich usterki oraz przedstawiałem sugestie dotyczące korekty. Nie zawsze się to z pewnością w pełni udawało, za co wypada przeprosić osoby czujące do mnie żal.

Oczywiście oczekiwałem, że nasze demokratycznie wybierane władze państwowe, ministerialne i uczelniane rozpatrzą i uwzględnią wielokrotnie przekazywane im dezyderaty zapewnienia warunków rozwoju naukowego dydaktyki i dydaktyków przedmiotów przyrodniczych. Niestety, to życzenie nie zostało do dziś spełnione.

Czym Pan Profesor interesuje się prywatnie? Jakie książki czyta Pan najchętniej, jakiej muzyki słucha? Jakich artystów Pan ceni? Czy dostrzega Pan związek między nauką a sztuką?

Prywatnie interesuję się wieloma sprawami. Śledzę z zainteresowaniem i często z niesmakiem i smutkiem działalność naszych posłów i senatorów, a także osób reprezentujących władze państwowe i samorządowe, mających być elitą narodu i społeczeństwa.

Czytam poważniejsze tygodniki (np. „Tygodnik Powszechny”, „Polityka”), chociaż nie zgadzam się z wieloma przedstawianymi w nich sądami i opiniami reprezentującymi zwykle jedną wybraną opcję polityczną, oglądam wiadomości telewizyjne i prognozy pogody. Usiłuję zaznajamiać się z bardziej wartościowymi nowościami wydawniczymi. Nie jest to jednak łatwe do wykonania, ze względu na trudności w ich wyszukaniu i trafności wstępnej oceny oraz ograniczenia czasowe. Przedkładałam czytanie czystych, nowych książek, z niechęcią zabieram się do czytania z widocznymi znakami ich „studiowania” przez nieszanujących ich bibliotecznych czytelników. Lubię czytać książki historyczne, filozoficzne, filozoficzno-religijne (np. Jana Pawła II, księdza J. Tischnera), biograficzne i podróżnicze zawierające reportaże (np. A. Fiedlera, R. Kapuścińskiego). Oczywiście od czasu do czasu czytam także interesujące kryminały. Ostatnio powracam do dawniej wydanych i czytanych książek, a także Biblii. Brakuje mi niestety często czasu na słuchanie muzyki i czynne uczestnictwo w wydarzeniach artystycznych i kulturalnych. Czasami lubię tracić czas na słuchanie szumu liści drzew, śledzenie bogactwa form obłoków, barw towarzyszących zachodowi słońca, rzadziej wschodowi, bo trzeba by bardzo wcześnie się obudzić.

Związki między nauką a sztuką dostrzegam, chociaż nie są one na pozór oczywiste. Osoby uprawiające naukę oraz poświęcające się różnym dziedzinom sztuki charakteryzuje zdolność dostrzegania problemów, zjawisk i procesów oraz zależności/powiązania w otaczającym ich świecie, na które większość ludzi nie zwraca uwagi. Wynika to z pewnością z silnego rozwoju ich wyobraźni. Cechuje je krytyczne na ogół stanowisko względem przyjętych przez poprzedników sądów oraz ich dzieł/dorobku i szukanie nowych, lepszych rozwiązań. Wielu z nich wyczuwa istnienie pewnych granic czy barier poznania ludzkiego i niemożności pełnego racjonalnego wyjaśniania sensu istnienia Wszechświata oraz związanej z tym Tajemnicy.

Jedną z pasji Pana Profesora są podróże, te bliskie i dalekie. Którą podróż wspomina Pan najmilej i dlaczego? Który region świata chciałby Pan Profesor odwiedzić?

Tak, czasami przypominam sobie przeżycia związane z moimi podróżami. Podróż do Argentyny (1994) pamiętam, gdyż wiązała się ona m.in. z dwoma samodzielnymi wyprawami. Z samodzielną, prawie dwudziestogodzinną podróżą z Buenos Aires kursowym autobusem wraz z tubylczą ludnością na północny wschód do odległego o ok. 1200–1300 km Parku Narodowego Iguacu i pięknych katarakt tamtejszego wodospadu. A następnie przelotem ok. 1400 km (małym samolotem) na południowy wschód do miasta San Carlos de Bariloce położonego w Patagonii nad Jeziorem Nahuel Hualapi z widokiem na wysokie Kordyliery. Piękna była również wyprawa do Kenii (1990), w tym zwiedzanie Parku Narodowego Nairobi, w pobliżu Nairobi stolicy Kenii i Parku Narodowego Aberdare. Przejazd z Nairobi busikiem na północny wschód, na safari, pobyt na sawannie, gdzie opodal mojego miejsca zakwaterowania spacerowały stada żyraf, antylop, zebra i strusi, oraz do położonej na wysokości ok. 2500 m w górskim lesie deszczowym „Arki”, hotelu w Parku Narodowym Aberdare, położonym niedaleko Góry Kenia, gdzie nocą do solanki leżącej za ścianą hotelu przybywały i opuszczały ją w hierarchicznej kolejności antylopy, nosorożce, bawoły i słonie i można było, przy świetle sztucznego księżycy je widzieć i słyszeć ich oddechy.

Niestety, ta wyprawa mogła się dla mnie bardzo nieprzyjemnie skończyć podczas odprawy na lotnisku Nairobi. Po przedstawieniu paszportu i biletu powrotnego skierowano mnie do uiszczenia opłaty portowej w znacznie odległym okienku, nagle okazało się, że nie posiadam biletu. Wróciłem więc szybko do poprzednich stanowisk i szukałem zguby. Na szczęście obok jednego z pasażerów na pulpicie leżał ten nieszczęsny bilet!

Nie wystarczy choćby najdłuższego życia ludzkiego, by poznać wszystkie godne tego zakątki świata. A chciałoby się jeszcze bardzo odwiedzić chociażby Chiny, w tym Tybet!

Życzymy Panu Profesorowi spełnienia wszystkich marzeń i bardzo dziękujemy za spotkanie i rozmowę.

Barbara Zębalska i Katarzyna Potyrała